

e-book

Andrzej Zbych

Stawka większa niż życie



ANDRZEJ ZBYCH

Stawka większa niż życie

agoy.pl

Warszawa 2011

ISBN 978-83-62964-77-2

Copyright © Andrzej Zbych

Copyright © for this edition by AGOY.PL

AGOY.PL Piotr Cholewiński

www.agoy.pl

Wszelkie prawa, włącznie z prawem do reprodukcji tekstów w całości lub części, w jakiegokolwiek formie zastrzeżone.

Spis treści

DRUGIE NARODZINY	4
PARTIA DOMINA.....	29
PODWÓJNA GRA	57
OSTATNIA SZANSA	75
WSYPA.....	102
NOC W SZPITALU	129
ŚCIŚLE TAJNE	156
PRZEDOSTATNI SEANS	183
KURIERKA Z LONDYNU	209
HASŁO	237
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ	262
ŻELAZNY KRZYŻ.....	286
PODWÓJNY NELSON	312
CAFÉ ROSÉ	334
KUZYNKA EDYTA.....	359
SPISKOWCY.....	385
AKCJA „LIŚĆ DĘBU”	406
OBLĘŻENIE.....	430
SPOTKANIE NA ZAMKU	457
POSZUKIWANY GRUPPENFUEHRER WOLF	483

DRUGIE NARODZINY

1

Umówił się z Pierre'em, że zapadną w kartoflisku podczas drogi powrotnej. To była spora szansa. Wachmani o tej porze są już zmęczeni, tłum przymusowych robotników, który powinien maszerować w karnych trójkach, po dwunastu godzinach morderczej harówki ciągnie osowiały; każdy myśli tylko o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w domu, jeśli domem można nazwać otoczony drutem kolczastym czworobok baraków, w których zgromadzono kilkuset cudzoziemskich robotników, zatrudnionych w stoczni remontowej Kriegsmarine w Królewcu. Jest więc szansa, że żaden ze współwięźniów nie zauważy ucieczki, a jeśli nawet, to zapewne pomyśli, że tych dwóch zwariowało zupełnie, bo przecież ucieczki kończą się zwykle jednakowo: po paru dniach, a po tygodniu najpóźniej, przyprowadzają z powrotem takiego, któremu — jak mawia w takich okazjach lagerfuehrer Artzt — znudziło się spokojne życie w tym cichym, przyjemnym obozie i który pragnie zakosztować prawdziwego niemieckiego obozu koncentracyjnego...

Bo istotnie ten mały obóz, postawiony na ugorze pod Królewcem — ze strychu najwyższego baraku widać krańcowy przystanek linii tramwajowej — nie jest prawdziwym niemieckim obozem. Staszek spodziewał się, że może być znacznie gorzej, kiedy aresztowano go w rodzinnej Kościerzynie. Już wtedy działał Stutthof Konzentrationlager, budzący postrach wśród pomorskich Polaków. Ale miał szczęście. Zaplombowany bydłocy wagon minął Gdańsk, z którym tyle Staszka łączyło dobrych i złych wspomnień, i skierował się na wschód. Znalazł się w tym niewielkim obozie, gdzie oczywiście nie cackają się z nimi, kawki z mleczkiem do łożeczka nie podają, ale brukwiowej zupy z pływającymi gdzieniegdzie okrawkami tłustego mięsa prawie do woli, chleba także sporo, pół kilograma dziennie. Rzecz w tym — Staszek szybko się połapał — że w obozie umieszczono wyłącznie młodych, zdrowych ludzi, dobierając ich nawet pod kątem przygotowania technicznego. Być może wyznanie Staszka w kościerzynskim gestapo, że przez cztery semestry studiował budownictwo okrętowe na Politechnice Gdańskiej, wyznanie, dodajmy, złożone płynną niemiecką, zdecydowało o jego losie.

Wśród współtowarzyszy niedoli przeważali ludzie obcy z pracą w fabrykach, Staszek zaprzyjaźnił się z Felkiem, który był majstrem u warszawskiego Gerlacha, a człowiek, obok którego dostał pryczę, właśnie ten Pierre, z którym teraz omawiał ucieczkę, pracował przed wojną u Panharda jako skrawacz-narzędziowiec. Wielka machina wojny totalnej, proklamowanej przez wodza tysiącletniej Rzeszy, potrzebowała fachowców, bo wiele stanowisk przy obrabiarkach, frezarkach i szlifierkach stało pustych — ludzi, którzy przy nich pracowali, posłano na fronty. A ktoś musiał produkować części zamienne do podziobanych przez angielskie pociski okrętów, więc stworzono ten obóz, o którym sami jego szefowie mawiali, że należy do najbardziej luksusowych miejsc Trzeciej Rzeszy. Bicie nie wchodziło tu do rytuału, oczywiście nierzadko człowiek obrywał kolbą, kiedy „post” miał akurat muchy w nosie, ale były to raczej szturchnięcia niż ciosy, widocznie personel strzegący obozu otrzymał instrukcje, aby pensjonariuszy tych czterech odrutowanych baraków w miarę możliwości oszczędzać. Byli potrzebni przynajmniej do końca wojny. Rzesza postanowiła wycisnąć z nich wszystko, co się da, zanim zdecyduje się na ich unicestwienie. Właściwie można by w tym obozie doczekać końca wojny, bo oszczędzały ich nawet angielskie bomby, spadające w nieregularnych odstępach czasu na Królewiec. Lagerfuehrer Artzt, grubas bez prawej ręki, którą zdążył już stracić gdzieś w kampanii francuskiej, usiłował być jowialny, co mu zresztą przychodziło bez trudu.

— Widzicie — powiadał — jak was oszczędzamy. Anglicy bombardują niemieckie miasto, a was umieściliśmy za miastem, żeby wam się, broń Boże, krzywda nie stała...

Oczywiście nic darmo. Względnie ludzkie warunki życia okupione są dwunastogodzinną harówką. Do tego dochodzi blisko godzinę trwająca droga powrotna, bo rano zawożą ich ciężarówkami.

Wielu się z tym pogodziło. Niektórzy nawet uznali, że wygrali los na loterii. Na przykład ci z Warthegau lub Pomorza. Ci, którzy stamtąd pochodzą, mają prawo przekazać część zarobionych marek pozostawionym rodzinom. Ich obecność tutaj chroni w jakimś stopniu, przynajmniej tak sobie wyobrażają, najbliższych przed wysiedleniem. Ci chwalą sobie nawet obóz, uważając go za najmniejsze zło, jakie mogło im się przytrafić.

Ale Staszek od ośmiu miesięcy, to znaczy od momentu, gdy się tu znalazł, myśli o ucieczce. Co prawda on także pochodzi z Pomorza, ale nic nie może pomóc swoim bliskim, których pochłonęła pierwsza fala hitlerowskiego terroru w jesieni trzydziestego dziewiątego. Uciekł wtedy do Krakowa, potem do Warszawy.

Długo szukał kontaktu z jakąś organizacją, chciał iść do lasu, chciał się bić, ale konspiracja dopiero się rodziła, obejmowała swym zasięgiem niewielkie grupy, a wieści o regularnych leśnych oddziałach były bardziej pobożnym życzeniem niż rzeczywistością... Kiedy wreszcie udało mu się nawiązać kontakt z organizacją, kiedy go zaprzysiężono i myślał, że nareszcie będzie mógł robić to, co robić powinien, po tym, co stało się z jego matką i ojczymem, z jego dalszymi krewnymi i bliskimi przyjaciółmi, kazano mu wrócić do Kościerzyny. Miał tam się zamelinować, w razie potrzeby przyjąć Volkslistę i czekać na dalsze rozkazy. Tłumaczył, że chce walczyć z bronią w ręku, że chce zabijać ludzi, którzy zburzyli mu dom rodzinny... Na nic się to nie zdało. To był rozkaz. Powinien zrozumieć, że organizacji potrzebni są ludzie świetnie znający język swego wroga, obeznani z terenem, inteligentni i odważni, którzy w razie potrzeby potrafią zorganizować grupę konspiracyjną czy siatkę wywiadowczą. Ale nie doczekał się żadnego rozkazu. W trzy tygodnie po przyjeździe do Kościerzyny przyszło gestapo i wylądował w tym właśnie małym obozie.

Mieli pryskać razem z Felkiem, z tym od Gerlacha. Chłopak był cwany, ukradł któremuś z robotników niemieckich jego papiery i czekał na sposobny moment. Staszek myślał właśnie, żeby uczynić coś w tym rodzaju, gdy któreś nocy obudziła ich wizyta gestapowców. Poszli wprost do Felka. W sienniku znaleźli te dokumenty. Felek więcej nie wrócił. Po tym wydarzeniu skończyły się głośne rozmowy i półjawne planowanie ucieczek. Ktoś był kapusiem, niestety nie udało się ustalić, kto. W każdym razie cel administracji obozu został osiągnięty. Ludzie zamknęli się w sobie, długo się obwącili, zanim jeden odezwał się do drugiego. Tak jak sobie życzył lagerfuehrer Artzt: „Pracować, pracować, nie myśleć o głupstwach...”

Musiało upłynąć parę miesięcy, zanim jego stosunki z Pierre'em, sąsiadem z pryczy obok, zacieśniły się do tego stopnia, że zaczęli przebąkiwać o ucieczce. To Pierre właśnie, kiedy pierwsze bariery wzajemnej nieufności zostały przełamane, powiedział Staszekowi:

— Wiesz, dlaczego wszyscy uciekający wpadali? Bo uciekali w niewłaściwą stronę. — I potem wyjaśnił: — Uciekali Polacy — to rozumiałe... Oni mają najbliżej. Żaden Francuz nie próbował, ani Czech, ani Jugosłowianin. A mimo to żadna ucieczka się nie udała...

Było szesnaście ucieczek. Większość w grupach dwu — trzyosobowych, kilka indywidualnych. Uciekinierzy zawsze wracali. Tylko raz ktoś nie wrócił, przywieziono jego zwłoki.

— To proste — ciągnął Pierre. — Pomyśl, wszyscy uciekają na południe, w stronę swoich. Od terenów, gdzie mogą trafić na pomoc Polaków, dzieli ich trzysta kilometrów.

— Więcej — sprostował Staszek. — Granica Rzeszy przebiega teraz niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północ od Warszawy.

— Tym bardziej. A trzeba uciekać nie tu — pociągnął gwoździem po blasze, która miała stać się częścią kadłuba jakiegoś pancernika, bo ich rozmowa toczyła się przy pracy w stoczni, ponieważ doszli do wniosku, że tylko tu, w ogłuszającym jazgocie pneumatycznych młotów i piskach skrawanej stali, mogą mówić spokojni, że nikt ich nie podsłucha. — Więc trzeba uciekać nie tu — powtórzył — lecz tu — wyrysował gwoździem strzałkę ustawioną pod kątem prostym do poprzedniej, wskazującej drogę do Polski.

— Na wschód? — nie zrozumiał Staszek. — Zwariowałaś. Przecież tam są bolszewicy.

— Właśnie — pokiwał głową Pierre. — Granica jest stąd siedemdziesiąt — osiemdziesiąt kilometrów. Pomyśl!

— A jak Rosjanie wydadzą nas Niemcom? Albo wsadzą za druty gdzieś na północy?

Długo nie wracali do tej rozmowy, to znaczy nie wracali do niej wprost, ale Pierre krążył wokół sprawy jak ćma koło świecy. Staszek szybko zorientował się, w czym rzecz. Pierre był komunistą i ciągnęło go na wschód. Pewnie by wolał wrócić do Francji, ale wiedział, że to niemożliwe, więc wybierał Rosję. A on, Staszek? Nie wychowano go w miłości do wschodniego sąsiada. W swoim dwudziestodwuletnim życiu nie zdążył się zetknąć z ludźmi, którzy mieliby na ten wielki, szamoczący się z trudnościami kraj inny pogląd niż on, to znaczy taki, jaki wyniósł ze szkoły i lektury prasy. Ciekawił go ten kraj, słyszał o pięciolatkach, o Dnieprogresie i Magnitogorsku, fascynowało go przeobrażanie rolniczego kraju w potęgę przemysłową. Ale słyszał także o procesach i czystkach, o biedzie i kolektywizacji. Staszek nie wiedział, ile prawdy było w tym, co czytał, ale powzięcie decyzji nie było sprawą prostą. Ucieczka do Generalnej Guberni jest piekielnie trudna, prawie niemożliwa, ale uciekać do Rosji... Dlatego, kiedy Pierre narysował mu strzałkę, wyznaczającą marszrutę na wschód, zawołał w pierwszym odruchu: „Przecież tam są bolszewicy!”

— Czytałeś? — zapytał w parę tygodni później Pierre podczas półgodzinnej przerwy obiadowej.

— Czytałeś „Mein Kampf”? Siedzieli w maszynowni remontowanego statku. Obiadową zupę przywożono im do stoczni. To pytanie tak zaskoczyło Staszka, że nie doniósł łyżki z jakimś krupnikiem do ust.

— Zwariowałeś? Po co miałem czytać to świństwo, z którego wynika, że jestem podczłowiekiem.

— Gdybyś czytał — Pierre wskrobał kaszę z dna miski, starannie wylizał łyżkę. — Gdybyś czytał, wiedziałbyś, że do podludzi Adolf Hitler zalicza także Rosjan. I wiedziałbyś jeszcze, że likwidacja państwa bolszewickiego jest jego głównym celem. Bez tego nigdy by nie zdobył „przestrzeni życiowej dla wybranego narodu”. Potrzebne mu żyzne stepy Ukrainy, więc wojna z Rosją jest nieunikniona. Jeśli Rosja walczyłaby z Niemcami, poszedłbyś z Rosją?

— Poszedłbym z samym diabłem.

— Masz moje słowo honoru, że wojna wybuchnie. Staszek chciał mu powiedzieć, że nie bardzo w to wierzy, że przeczą temu ostatnie wydarzenia, ale nie zdążył, bo zawyła syrena ogłaszająca koniec przerwy obiadowej. Do maszynowni wtoczył się majster, który popędził ich do roboty. Dopiero po paru tygodniach nadarzyła się okazja do rozmowy. Pierre miał teraz ułatwione zadanie. Koncentracja wojsk niemieckich w rejonie Królewca rzucała się w oczy każdemu. Triumfował.

— A nie mówiłem, bracie? Teraz jest najważniejsza pora. Człogi bez przerwy wałą na wschód. Wiedziałem, że to taktyka — z dwóch stron — i Niemcy, i Rosjanie potrzebowali czasu. Stalin nie jest głupi. Wiedział, że w trzydziestym dziewiątym nie da rady Hitlerowi. Musiał mieć trochę czasu. Dlatego zawarł ten pakt. Ja wiem, że cię to boli. U nas też wielu ludzi tego nie rozumiało. Ale znasz takie przysłowie, że koszula bliższa ciału.

Więc ustalili plan ucieczki. Najlepiej po robocie, kiedy eskortujący ich wachmani też są zmęczeni. Zapaść gdzieś w kartoflisku i przeczekać, aż minie ich grupa. Zanim dojdą do obozu, upłynie pół godziny. Potem kolacja, a apel dopiero o dziewiątej, czyli razem dwie i pół godziny. Ale to jeszcze nie koniec. Pierre załatwi, żeby któryś z Francuzów krzyknął, że ich majster zatrzymał na nocną zmianę. Pojadą do stoczni ich szukać — znowu godzina. Razem trzy i pół — do czterech godzin. Mają po parę marek, Pierre sprzedał wachmanowi piękny mohairowy szal. Staszek — trzydniową porcję chleba. Wystarczy, żeby kupić bilet w stronę Kłajpedy. Do samej Kłajpedy nie starczy forsy, więc dojadą do czwartej czy piątej stacji za Królewcem. Tam wysiądą i ruszą na wschód. Dopiero wtedy zaczną ich szukać. Ale szukać ich będą na południu.

Poszło nadspodziewanie łatwo. Była mgła i żaden z „postów” nie zauważył, że z grupy ktoś uchył. Zresztą trudno było winić ich o to, ponieważ trójki dawno się już rozpadły, robotnicy opatuleni, czym kto miał, szli niemal na oślep, naprzeciw wiatrowi, który kładł na ich twarzach warstwę zimnej, marcowej mżawki.

Sytuację ułatwiało to, że ubiorem niczym nie różnili się od robotników niemieckich, te same

niebieskie kombinezony, naciągnięte na ubrania. Jedynym znakiem rozpoznawczym były przyszyte do lewej kieszeni białe skrawki materiału z literą, która symbolizować miała przynależność narodową więźnia. Jeszcze w kartoflisku zerwali te szmaty, stając się w tym momencie uciekinierami i przestępcami w świetle prawa Rzeszy i wewnętrznego regulaminu obozowego. Lagerfuehrer Artzt za lekkie nadprucie białej szmatki z literką dawał trzy dni karceru.

Tak jak było umówione, wsiedli do tramwaju na krańcowym przystanku. Znali tę drogę, można było do dworca głównego dojechać bez przesiadki. Udawali, że się nie znają, niemczyzna Pierre'a mogłaby wzbudzić podejrzenia, choć tak się złożyło, że plan zrobienia małego figła władzom Rzeszy uknuli właśnie po niemiecku, ponieważ był to jedyny język, jakim mogli się od biedy porozumieć. Na dworcu Staszek stracił Francuza z oczu, ale bał się, by rozglądaniem nie zwrócić na siebie uwagi Schupo, który przechadzał się po hali dworca z rękami do tyłu. Kupił bilet do stacji, jaką poprzednio z Pierre'em ustalił, i minął obojętnie w przejściu kolejarza, który kasując jego bilet nie zaszczylił go nawet spojrzeniem. Mieli szczęście, pociąg był już podstawiony. Na peronie Pierre puścił do Staszka oko i wszedł w któryś z pierwszych wagonów. Staszek ulokował się z tyłu i czekał. Był jedynym pasażerem w przedziale, potem zjawił się jakiś kolejarz wracający po pracy do domu, milkliwy na szczęście. Zapalił papierosa, czym przypawił Staszka o zawrót głowy, zauważył to i bez słowa podsunął mu paczkę papierosów. Wysiadł na następnej stacji i Staszek mógł, spojrzawszy na zegarek, stwierdzić, że jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowali, to zaczną ich szukać dopiero za godzinę. Rozważał właśnie, co powie Rosjanom na granicy, jak ich przekona, by nie odsyłali go Niemcom. Ocknął się, gdy spostrzegł, że pociąg stoi. Spojrzał na zegarek i ogarnęło go przerażenie. Przespał stację Gneisau, gdzie miał spotkać się z Pierre'em. Sądząc po godzinie, pociąg musiał dojeżdżać już do Kłajpedy. Wyrzwał oknem, powoli podnosił się semafor. Kilkaset metrów dalej widniały światła i zabudowania sporego na oko miasta. Zdecydował się w jednej chwili — skoczył, gdy pociąg drgnął.

Był na terenie jakiejś bocznicy, z prawej miał niskie zabudowania, prawdopodobnie jakichś magazynów. Z lewej zagajnik z usypanymi na jego skraju wielkimi pryzmami węgla czy koksu. Ruszył w tamtą stronę. Miał kompas i mapę, ale cóż to za mapa? Wycięta z gazety „Königsberg Zeitung” mapa zwycięskiego marszu niemieckich wojsk. Ta część Europy, która go interesowała, była zaledwie naszkicowana. Mógł się z tego domyślić jedynie, że granica musi być gdzieś w pobliżu. W świetle małej kolejowej lampy sygnalizacyjnej położył na dłoni kompas wyprodukowany własnym przemysłem: magnesowana igła na wieczku pudełka od pasty do butów. Wiedział tylko tyle, że musi iść na wschód.

Schował do kieszeni kompas i wszedł w zagajnik.

2

Pułkownik Jakubowski kazał szoferowi stanąć przed niskim, szarym budynkiem, gdzie mieścił się sztab okręgu wojskowego. Spojrzał na zegarek — okazało się, że przyjechał za wcześnie, szef wyznaczył mu spotkanie dopiero na jedenastą, ma więc blisko pół godziny czasu. Postanowił się przejść. Rozmowa z szefem nie będzie łatwa. Choć znają się już dobrych parę lat, w ostatnich czasach jakiś cień padł na ich wzajemne stosunki. Rumiancew uważnie słuchał jego raportów, kreśląc na kartce esy floresy, na zakończenie pytał nieodmiennie, czy Jakubowski ma to spisane, brał rękopis i wkładał do teczki.

— O nic nie chcesz zapytać? — powiedział Jakubowski niemal ze złością, kiedy był tu ostatni raz, dwa tygodnie temu.

— Wszystko jasne — powiedział tamten. — Myślisz, że to dla mnie taka sensacja? Popatrz — pokazał pękatą teczkę — to są meldunki z ostatnich trzech dni. Można by tym porządnie napalić w piecu. I wszystkie na jedną nutę: Niemcy szykują to, Niemcy szykują tamto. Niemcy przysyłają szpiegów. Jak myślisz, to taka zabawna lektura?

— Więc jednak to czytasz, zanim wrzucisz do pieca — powiedział Jakubowski i poczuł, że

chyba przekroczył granicę, której nie powinien był przekraczać. Rumiancew wstał, odwrócił się do niego tyłem, przez chwilę wpatrywał się w nowe domy za oknem.

— Nie palę tym w piecu — powiedział sucho, prawie wrogo — posyłam wszystko do Moskwy i dodaję od siebie raporty sumaryczne, jeśli cię to interesuje.

— I co? — chciał wiedzieć Jakubowski. Za odpowiedź powinno mu wystarczyć milczenie Rumiancewa.

Czy teraz znowu tak będzie? Wojna wisi na włosku — jest tego pewien. Raporty wywiadu płytkiego, jakimi dysponuje, potwierdzają to z zadziwiającą jednomyślnością. Transport brygady pancerniej, przegrupowanie dywizji piechoty, nieustannie ciągnące na wschód transporty z benzyną. Ostatnie informacje z Kłajpedy potwierdziły wcześniejsze meldunki, że w tych okolicach Niemcy zbudowali ogromny zbiornik paliw płynnych o pojemności kilkunastu tysięcy ton. Z ostatniego meldunku wynika, że już 1800 wagonów —cystern przelało swą zawartość do zbiornika, ale zmieścić się w nim może z łatwością drugie tyle. Inne informacje potwierdzały, że sprowadzana benzyna należy do typu lekkich, służących do napędu samolotów. Skąd samoloty, jeśli w Kłajpedzie jest jedno małe lotnisko, na którym zdołaloby się pomieścić naraz pięć, no powiedzmy — dziesięć maszyn. Chyba żeby rację miał ten chłopak, ten uciekinier z niemieckiego obozu, który twierdzi, że w lasach nieopodal Kłajpedy natknął się na dobrze zaawansowaną budowę pasów startowych...

Co może zrobić Jakubowski poza złożeniem szczegółowego raportu swoim przełożonym? Niełatwy kawałek chleba wybrał. Od dwu blisko lat jest kierownikiem sekcji radzieckiego kontrwywiadu, obejmującego swym zasięgiem znaczny szmat granicy radziecko — niemieckiej. Cóż może zrobić więcej poza przesłaniem raportu i odbyciem okresowego spotkania z Rumiancewem? Przecież nie podejrzewa, że Rumiancew zataja jego meldunki? Zna tego człowieka i wie, że można na nim polegać. Kiedy kilka miesięcy temu zameldował Rumiancewowi, że jego dotychczas spokojny odcinek pracy nagle się ożywił, tamten popatrzył mu głęboko w oczy.

— Słuchaj — powiedział — czy ty czasem nie chcesz tej wojny?

— Wiem, o czym myślisz — odparł spokojnie Jakubowski — i jestem pewien, że kiedyś zmierzmy się z Niemcami. Mam obowiązek zameldować ci o wszystkim, co wzbudziło moje zaniepokojenie, więc melduję.

Aluzja zwierchnika była przejrzysta. Czy nie chcesz tej wojny — to znaczy, czy nie chcesz, żebyśmy zwyciężyli Niemców i wypędzili ich z Polski. Bo Jakubowski był Polakiem. Nigdy tego nie ukrywał, przeciwnie — niejednokrotnie podkreślał swą polskość. Jego ojciec dowodził szwadronem u Budionnego, zginął za władzę radziecką. On zdecydował się zostać w Rosji. Tam za granicą, za kordonem, jak się wtedy mówiło, nie miał nikogo bliskiego, matka i siostry mieszkały w Leningradzie, nikogo z dalszej rodziny nie znał, ale nie lubił, kiedy waliło się w gruzy to państwo, nie lubił, kiedy Niemcy wkraczali do Warszawy, której nie widział na oczy, a którą tylko opromieniały ciepłem wspomnienia matki, poczuł ucisk serca i nieraz musiał się zetrzeć z którymś z kolegów, którzy upadek „pańskiej” Polski przyjmowali z nieukrywaną satysfakcją. Z Rumiancewem zresztą nigdy nie doszło do kontrowersji na ten temat. W dniu kapitulacji Warszawy mocno uściśnął mu rękę.

— Pójdą, jak przyszli — powiedział. — A może i ty wrócisz?

Więc i Rumiancew — pomyślał Jakubowski teraz — jest przekonany, że musi dojść do wojny, że Niemcy zdecydują się na samobójczy — a o tym Jakubowski, absolwent Akademii imienia Frunzego, był najzupełniej przekonany — atak. Spojrzał na zegarek. Trzeba wracać. Rumiancew kazał mu sprawdzić zeznanie tego chłopaka, tego Stanisława Moczulskiego, który uciekł z obozu pod Królewcem z zamiarem poinformowania władz radzieckich o koncentracji nad ich granicą wojsk niemieckich. Tak jakby Jakubowski, reprezentujący te władze, nie wiedział o tym od dawna. Ten młody, buńczuczny chłopak powiedział Jakubowskiemu, że w wypadku wybuchu wojny pragnie wstąpić do Armii Czerwonej i walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi.

— Kto wie, kto wie — powiedział Jakubowski po polsku.

Chłopak się zdziwił i ucieszył, ale bardziej chyba ucieszył.

— Pan jest oficerem ich armii i zna pan polski?

— Tak — powiedział mu wtedy Jakubowski — jestem Polakiem i oficerem Czerwonej Armii.

Ujął go ten chłopak swoją żarliwością, patriotyzmem, brakiem pozy. Nie ukrywał, zeznając przed Jakubowskim, że decyzję ucieczki do Rosji podjął nie bez oporów, że dał się przekonać argumentacji francuskiego komunisty, z którym podjął ucieczkę, a którego zgubił gdzieś po drodze. Nie usiłował przekonać Jakubowskiego, że jest entuzjastą ustroju, jaki panuje w Rosji, powiedział, że nie interesował się polityką, że jedynym jego pragnieniem jest walczyć z Niemcami, pomścić śmierć najbliższych i klęskę kraju.

Chłopaka oczywiście posadził, polecił jedynie, by karmiono go dobrze, wychudł w czasie tej ucieczki, a może podczas pobytu w obozie. Musiał sprawdzić dane, jakie chłopak podał, i to zajęło mu blisko dwa tygodnie. Właśnie dziś rano otrzymał potwierdzenie. Oczywiście nie udało się sprawdzić wszystkiego, ale z grubsza się zgadzało. Trzeba będzie chłopaka zwolnić, pošłą go zapewne gdzieś w głąb Rosji i tyle będzie z jego pragnienia walki z Niemcami. Chociaż jego znajomość niemieckiego, jeśli jest naprawdę tak bezbłędna, mogłaby się na coś przydać. Jeśli Rumiancew pozwoli, zatrzymam go u siebie jako tłumacza, postanowił wchodząc w bramę budynku sztabu.

Okazało się, że na szefa musi jeszcze poczekać. Żołnierz broniący dostępu do gabinetu był nieubłagany. Zgodził się tylko zadzwonić i zameldować, że pułkownik Jakubowski właśnie się zjawił. Z satysfakcją powtórzył Jakubowskiemu, że szef przyjmie go dopiero za dziesięć minut.

— Zajęty jest — dodał tonem prywatnym — jakiegoś szwaba przesłuchuje.

Pałac papierosa, oparty o parapet okna na korytarzu, rozmyślał o tym jednym prywatnym zdaniu żołnierza-kancelisty. Nie powiedział zwyczajnie, że przesłuchuje Niemca, tylko szwaba. Tym jednym słowem zmanifestował swój stosunek uczuciowy do kraju, który przynajmniej w oficjalnej nomenklaturze nosi od półtora roku miano przyjaznego sąsiada. Prawdziwe uczucia narodu — pomyślał nie bez przyjemności i nagle aż wypuścił papierosa z wrażenia. Nie, nie może się mylić, chociaż to zupełnie nieprawdopodobne. Z gabinetu szefa wychodził, konwojowany przez czerwonoarmistę, ten Polak, którego zostawił przecież u siebie w garnizonowym areszcie. Ten sam, tylko trochę inaczej ubrany. Co on tu robi? — zdążył jeszcze pomyśleć, bo Rumiancew go już zauważył i przywoływał ruchem ręki. Jakubowski spostrzegł, że Rumiancew jakby odmłodził, stracił ociężałość ruchów, nawet jego zwykle pomięta „gimnastorka” wydawała się mniej pognieciona niż zwykle.

— Ciesz się, bracie — powiedział — coś się rusza. Być może wreszcie tam na górze — mimowolnie pobiegł wzrokiem ku portretowi zawieszonemu nad biurkiem — zrozumieli, że to nie żarty. Masz dla mnie coś ciekawego?

— Zaraz, zaraz — rzekł Jakubowski, który jeszcze nie ochłonął ze zdziwienia. — Zanim złożę ci raport, powiedz mi, w jaki sposób go ściągnąłeś? Przecież rano, kiedy wyjeżdżałem, siedział jeszcze u mnie w piwnicy.

— Kto? Kogo? — nie zrozumiał Rumiancew.

— Nie udawaj. Ten Polak, Stanisław Moczulski. Właśnie chciałem cię prosić o zgodę na zatrudnienie go u mnie w charakterze tłumacza. Chłopak zna perfektnie niemiecki, oczywiście polski i dogada się po rosyjsku.

— Kto? — Rumiancew naprawdę nic nie rozumiał.

Więc Jakubowski musiał mu wyjaśnić po kolei, jak dwa tygodnie temu żołnierze ze straży granicznej złapali na bagnach cywila z karabinem, który przedzierał się w stronę ich stanowisk. Ten karabin zdecydował, że przysłano uciekiniera do Jakubowskiego. Chłopak zeznał, że uciekł z obozu dla cudzoziemskich robotników pod Królewcem, że zabił niemieckiego wartownika, zabrał mu karabin i pragnie zawiadomić władze radzieckie o koncentracji Niemców w pobliżu granicy, a także pragnie zgłosić gotowość walki ze wspólnym wrogiem, gdy zajdzie tego potrzeba. Sprawdził już większość danych — wszystko się zgadzało, ale nie miał czasu z chłopakiem rano pogadać i zdziwił